

# Kronika tygodniowa.

Bodaj częściowo spełniła się więc moja przepowiednia z ubiegłego tygodnia. Wyraziłem ją wprawdzie w formie tylko skromnego życzenia, miała przecież bodaj taki skutek. Śniegu już nie widać, choć zimno, utrzymujące się ciągle, przypomina każdemu, by nie rozstawał się z paltotem, jeżeli nie chce narazić się na zaziębienie i jego następstwa.

Kronikarz, który, podobnie jak i inni Krakowianie, nie posiada w swem zagłębiu piwnicznym nijakich już zapasów węglowych, jest z tego powodu pogrążony w czarną rozpacz, ale to go pociesza, że takich, jak on, jest więcej. Zresztą na zajmowanie się takimi drobnostkami brak czasu. Nie ma się go nawet na załatwienie najkonieczniejszych czynności urzędowych, do których należy przede wszystkim zbieranie materiału do następnej kroniki, co nie jest znowu taką łatwą rzeczą, jakby może komu się zdawało, poza tem zaś ustne i na piśmie informowanie Czytelników i Czytelniczek w różnych sprawach, z jakimi się doń ciągle odnoszą. Nie na wszystko przecież można odpowiedzieć, a przynajmniej nie zaraz.

W takim kłopotcie znalazłem się właśnie w tym czasie, otrzymawszy od pewnej niewiasty z prowincyi list, w którym mnie zapytuje, czy „Niezawodna maść na osiągnięcie pełnego i jędrnego binstu“ jest w samej rzeczy niezawodną, w jakim wieku może być stosowaną i czy mógłbym zaręczyć, że nie będzie mieć szkodliwych następstw.

Chcąc zadość uczynić wyrażonemu życzeniu, trzeba byłoby kupić sobie słoik tej maści i rozpocząć z nią próbę, wątpię przecież, czy pytająca pani miałaby tyle cierpliwości, by doczekać aż do chwili, gdy ją będę już mógł zawiadomić o rezultacie mych doświadczeń, których jednak drukiem nie ogłoszę, ze względu na okoliczność, iż i w bieżącym roku nie będą przyznawać nagród z fundacyi Nobla. Mógłbym, co prawda, sprostowania moje opublikować w „Rocznikach Akademii Umiejętności w Krakowie“, na razie muszę sobie jednak dać z tem spokój, gdyż nie „przetrawiłem“ jeszcze (wyrażenie pewnego znanego naszego filologa) należycie prawideł nowej pisowni polskiej, wydanych nie tak dawno. Zwłaszcza teraz, po ogłoszeniu przez ankietę lwowską protestu przeciw wspomnianym uchwałom Akademii, nie wiem dopiero, czy tak się pisać ma, czy też się nie powinno, i czekam wobec tego na definitywne rozstrzygnięcie sprawy.

Mniej już kłopotu miałem z jakimś wielkim politykiem prowincjonalnym, z jakowejś Pipidówki, który prosił mnie o wyczerpujące informacje, jak mówią w Paryżu i Londynie o pokoju, zapewniając równocześnie, że: „niech mnie (to jest jego, nie mnie!... przyp. autora) szlag trafi, jeżeli o tem puszcza bodaj parę wobec kogo!...“ Odpowiedziałem mu krótko i węzłowato: „O pokoju mówią w Paryżu przeważnie po francusku, w Londynie po angielsku, choć nie jest wykluczonem, iż może się dziać i odwrotnie, zwłaszcza wtedy, gdy ministrowie koalicji składają sobie nawzajem wizyty“.

Sądę, że z odpowiedzi tej powinien być najzupełniej zadowolony, zwłaszcza, że jest ona oparta na zupełnie autentycznych, mych własnych informacjach, zaczerpniętych wprost u źródła.

Natomiast nie potrafiłem dać odpowiedzi pewnej znów Czytelniczce, która po ukończeniu w *Nowościach ilustrowanych* druku powieści p. t. „Poza frontem“, zainterpelowała mnie w krótkiej drodze, czy Józia wyszła zamąż za Żarnickiego i jak się w tym wypadku znosi z jego matką, czy może wróciła do Michała, nałto, czy dzieci owego inwalidy bez ręki przyzwyczaiły się już do swej nowej macochy, panny Witowtówny.

Niestety, na żadne z powyższych pytań odpowiedzieć nie mogłem, nie wiem bowiem, co stało się z bohaterami owej powieści w dalszym ciągu ich życia, choć mogę zdradzić tajemnicę, iż autor przygotowuje trzecią część, kto więc łaskawy i cierpliwy, w swoim czasie dowie się wszystkiego.

A takich i tym podobnych pytań jest więcej. Gdybym chciał na każde odpowiedzieć, musiałbym przyjąć bodaj jedną sekretarkę, piszącą na maszynie, a na to znowu nie zgodziłaby się moja Weronisia, która, choć nazywa mnie z zasady „starym fujarą“ lub „nie-dolęgą“, przecież mi czasem nie dowierza.

Czasu mi więc nieraz brak, zwłaszcza zaś teraz, gdy zajmuję się gorliwie sprawami teatru, a zwłaszcza krytyki teatralnej, wchodzącej widocznie w czasie wojny na zupełnie nowe tory, jak to wnoszą ze słów, wypowiedzianych do narodu przez jednego znakomitego sprawozdawcę z okazji wystawienia na krakowskiej scenie najnowszej sztuki Nowaczyńskiego: *Pataski w Ameryce*.

Pan ów powiedział więc, a raczej napisał, ni mniej, ni więcej, tylko:

„Rozpływający się po widowni zapach prochu przypominał widowni żywo dobę stanu wojennego i podnosił walory sztuki czynnikiem aktualności“.

Odtąd więc, przy ocenie różnych sztuk teatralnych brać się będzie musiało w rachubę nie tylko oko i ucho, ale i nos, i biada krytykowi, któryby nie miał należyście wyrobionego zmysłu powonienia.

Z drugiej znów strony ten nowy kierunek może mieć bardzo doniosłe następstwa, spodziewam się bowiem, iż reżyserja będzie się odtąd starała podnosić walory sztuki różnymi zapachami, co wpłynąć powinno na frekwencję w teatrze, gdzie ucieścić będzie można nie tylko oko, nie tylko ucho, ale i nos... Już widzę afisz teatralny w niedalekiej przyszłości z ogromnym napisem: „W akcie trzecim rozpływać się będzie po widowni zapach prawdziwego rozbratla z cebulą“... Ludziska, którzy w tym czasie znać będą rozbratla jeno ze wspomnień i opowiadań, pospieszą tłumnie do teatru, by tam bodaj robić „inhalacje“ rozbratlowe, skoro rzadko kto potrafi sobie dziś coś podobnego, jak rozbratle, zafundować. Ciekawym jednak, czy do podobnych zapachów miałyby zastosowanie przepisy o dniach beźmięsnych?... Przedstawienia popularne mogłyby się ograniczyć, dajmy na to, na zapachu kwargli lub przekiszzonej kapusty, który jest również silny i zdrowy, wystawiona sztuka nie straciłaby bynajmniej swych „walorów“, publiczność byłaby zadowolona. Teatr w wojennym czasie stałby się w ten sposób czynnikiem nie tylko kultury, ale ułatwiłby i aprowizację, a z tem należy się także liczyć bardzo poważnie. Obeszłoby się w danym wypadku i bez orkiestry teatralnej. W antraktach publiczność, przypominając sobie „zapachy“ poprzedniego aktu mlaskałaby językami z taką lubością i z takim apetytem, iż głuszyłoby to wszelkie, nawet najhuczniejsze tony.

Zastrzegam się jednak, że ten przewrót stać się może, ale nie musi, jest to wizja przyszłości, osnuta na tle wywodów jednego tylko teatralnego recenzenta, nie zaś ogółu.

Prócz wymienionych kłopotów, nazwijmy je urzędowymi, stoją bowiem w ścisłym związku z kronikarskim stanowiskiem w społeczeństwie, miałem ponadto i inne, natury więcej prywatnej. Najważniejszy z nich, wszystkim dokuczający, spadł mi już z głowy i z porządku dziennego, odkąd zaprowadzono w Krakowie „Ochronę lokatorów“, skazanych dotąd na łaskę i niełaskę kamieniczników.

Na tem samem posiedzeniu Rady miasta, na którym J. E. Pan prezydent poświęcił żalosne wspomnienie pękniętej rurze wodociągowej na Półwsiu, poruszono także i sprawę owej „Ochrony“, ale tylko półgębkiem, gdyż prawie każdy z panów radców to kamienicznik i to przeważnie dziedzicznie tą wadą obciążony, uznający się za dobrodzieja płacących wygórowane czynsze lokatorów i nie mogący w żaden sposób pojąć, czego oni od niego żądają?... Jeżeli zaś przypadkiem który z nich niema jeszcze własnego dachu nad głową, z pewnością tylko nad tem przemysłowa, w jaki sposób mógłby najprędzej dojść do upragnionego celu.

Wówczas postawił jeden z rajców wniosek, iż byłoby wskazaniem, aby ustawa obowiązywała i Kraków na co z miejsca decydującego odpowiedziało, iż kroki w tym celu już rozpoczęto. Znając nasz administracyjno-autonomiczny porządek, byli wszyscy zadowoleni, wnioskodawca, iż wniosek postawił, radni-kamienicznicy, iż sprawa przeciągnie się *ad infinitum*. A tu tymczasem, już w piątek ubiegłego tygodnia, czytamy w pismach codziennych, iż ustawę o ochronie lokatorów rozszerza się na Kraków i cały szereg miast w Galicyi.

Interpelowałem w tej kwestyi jednego z radców-kamieniczników.

— I cóż kochany radca na to? — zapytałem.

— Nic! — odparł spokojnie. — Ja i tak nie głosowałem nad tym wnioskiem...

W każdym razie pewna otncha wstępnie w tak zwanych lokatorów. Odtąd nie będzie mógł właściciel domu podwyższać co kwartał czynszu, wypowiadać mieszkania według swego widzimisię, słowem, choć późno, doszło do skutku to, co już dawno dojść było powinno. Nawet czworonogi miały Towarzystwo opieki nad sobą, nie mieli jej tylko czynszownicy. Każda akcja budzi zaraz reakcję, jestem też prawie pewny, iż w niedługim już czasie powstanie w Krakowie „Towarzystwo wzajemnej ochrony kamieniczników przed wyzyskiem lokatorów“. I ja sam, o ile w międzyczasie zaliczonym zostałbym w poczet błogosławionych kamieniczników, wpisałbym się na członka czynnego, na razie mógłbym zostać tylko honorowym. Wątpię przecież, czy się to kiedy stanie, uczono mnie bowiem swojego czasu, iż „kto się do torby narodził, ten się nigdy kufierka nie dorobi“.

Zresztą, na czem miałby się dorobić majątku przeciętny człowiek, handlem się nie zajmujący, gdy po-

nadto zbliżają się takie czasy, iż nawet nie będzie czym handlować!... Brak wszystkiego, o czem człowiek tylko pomyśli!... Ot, weźmy na uwagę tak niewinny i nic z wojną nie mający wspólnego artykuł, jak jaja. Kury są, jaj niema, nierównie dziwnem byłoby, gdyby się rzecz miała odwrócić!... Co jednak wpłynęło na ów brak jaj, tego nikt powiedzieć nie może. Niektórzy przypisują go zdenerwowaniu kurzego rodu zbyt długiem przedsięwzięciem się wojny, co bardzo łatwo może być braniem w rachubę, inni karygodną opieszałością w pełnieniu swych obowiązków. Dobrze też uczyniło starostwo w Bielsku, polecając zestawieć dokładny spis kur, znoszących jaja i prowadzić ewidencję, w jaki sposób wywiązują się z tego „poruczonego im zakresu działania“, by w danym wypadku można było w drodze prawa wystąpić przeciw opornym.

Pisma codzienne rozpaczają stale nad brakiem węgla, mięsa, wędlin, tłuszczów i t. d. ba, odczuwamy już nawet brak sacharyny, choć urzędowo nie została jeszcze w obieg puszczoną. W każdym razie konstatuję fakt, że najpotężniej wyglądają obecnie ogonki węglowe i ziemniaczane, bezpośrednio po nich idą ogonki czysto męskie, czyli tytoniowe, przed każdą trafiką raz na tydzień się pojawiająca. Chętnie wypaliłby człowiek z wrogiem swym fajkę pokoju, jak to czynią Indianie, niestety, trudno sobie na to pozwolić, gdy stale nad każdą trafiką widnieje napis: „Brak tytoniu“.

O braku nafty wspominać nie potrzeba, z powodu bowiem wprowadzenia letniego czasu chodzi się spać wcześniej o godzinę i w ten sposób oszczędza się wiele na oświetleniu. Specjalnie oszczędni wstają ponadto według starego zegara i znowu mają, jak oni mówią, jedną godzinę „zu gut“... Wielu urzędników chciało ten system wprowadzić przy nstawnianiu godzin urzędowych, ale nie zgodzili się na to władze przełożone, dbające o duszny pożytek swych podwładnych, a wiedzące (z własnego doświadczenia!...), iż próżniactwo jest grzechem i to bardzo paskudnym!

Klina mi także zabiła w głowę notatka, iż na razie nie zamyśla Rząd ograniczyć jeszcze bardziej ilości chleba, przeznaczonego dla pojedynczych zjadaczy, zamierza natomiast wprowadzić nowy surogat przy wypieku.

Coby to być mogło? — myśli każdy, a najbardziej z ciekawości skrobią się w głowę piekarze. Gdy zapytał jednego, co ma na myśli, odpowiedział:

— Nie mam pojęcia, choć już wszystkiego, co tylko na świecie istnieje, używałem do wypieku chleba!

— Maki też? — podchwyciłem z nienacka.

Nie połapał się widocznie, bo odpowiedział:

— Czasem!... Ale to się nie opłaci. Produkcya jest wtedy zbyt droga! Zresztą tak, czy owak, Indzie będą narzekać, niech więc mają bodaj powód...

Przyznałem mu naturalnie zupełną rację, a żołądek mój, na samo wspomnienie nowego surogatu, zaczął mruczeć w jakiś niewyraźny sposób.

Zresztą co do braków i surogatów, mających je zastąpić, to jest ich tak duża litania, iż absolutnie spamiętać jej niepodobna, a na wyliczenie nie wystarczyłoby nawet łamy podwójnej kroniki!... Wobec tego o innych brakach mówić ani pisać nie myślę, zostawiając sobie to do następnych numerów. Wiem o tem, że zanim doczekamy się końca wojny, wygadam się w tej materii należycie.

(Przeciw bolom głowy) używa się Feller'a wonnego, ból kojącego i orzeźwiającego fluidu z esencji roślin z marką „Elza fluid“. Przeszło 100.000 listów dziękczynnych chwali go. Ceny pokojowe: 12 flaszek kosztuje franko tylko 6 koron. Znakomity środek domowy. Aptekarz E. V. FELLER, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (roacya).

*Falodent*

Krem do zębów

Sarg, Wiedeń